

NOWA KONFEDERACJA nr 9 (21)/2014

INTERNETOWY TYGODNIK IDEI

27 lutego—5 marca

cena: 0 zł

**RAPORT O
UKRAIŃSKIEJ
REWOLUCJI**



**MAJDAN
NA CHŁODNO**

W numerze:

Heroje kontra klany

Bartłomiej Radziejewski..... 3

Machiavelli na Majdanie

Michał Kuź..... 8

Wojna polsko-polska o sąsiada

Krzysztof Bosak..... 13

Wiosny Ukraińców, czyli historia lubi się powtarzać

Aleksandra Rybińska..... 16

Kijów–Warszawa. Zaszłość i gniew

Marcin Skalski..... 21

Rosyjski poker nad Dnieprem

Z Witoldem Juraszem rozmawia Aleksandra Rybińska..... 25

Heroje kontra klany



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Gra polityczna toczy się na Ukrainie z dala od fasadowej demokracji – między wielką polityką a wielkim biznesem. Stawka jest bardzo wysoka: przegrani tracą majątki, wolność, a nawet życie.

Przebudzony obywatelsko naród powstał przeciwko skorumpowanej elicie z krwawym bandytą na czele – taki obraz ostatnich wydarzeń na Ukrainie zaprezentowały Polakom elity. To jednak obraz niepełny tak dalece, że grożący pomyleniem dekoracji z realną polityką. Nie sposób bowiem zrozumieć, co się dzieje nad dolnym Dnieprem, bez uwzględnienia wiodącej roli tamtejszych oligarchów.

Żeby zrozumieć, jak ukraiński system działa, cofnijmy się na chwilę.

Tymoszenko vs grupa RUE

W 2009 r. ówczesna premier Julia Tymoszenko podpisała, na skrajnie niekorzystnych dla kraju warunkach, niesławną umowę gazową z Rosją. W znakomitym opracowaniu Ośrodka Studiów Wschodnich można przeczytać, że genezą tej sprawy była walka Tymoszenko z tzw. grupą RUE.

Ta ostatnia to frakcja ukraińskiej oligarchii skupiona wokół RosUkrEnergo, firmy pośredniczącej w imporcie rosyj-

skiego gazu. RUE finansowała swego czasu zarówno Partię Regionów Janukowycza, jak i Naszą Ukrainę Juszczenki. Liderka Batkiwyszczyny uznała ją więc za kluczowego wroga i za wszelką cenę dążyła do odebrania jej statusu pośrednika. Dopięła swego, łącznie z przejściem należących do RUE (a więc dzielonych przez Moskwę i Kijów) złóż gazu przez ukraiński Naftohaz, ale za cenę rujnującego dla kraju dziesięcioletniego kontraktu z Gazpromem.

Sama też na tym straciła: feralna umowa kosztowała ją polityczną reputację, a RUE odegrała zasadniczą rolę w przeciwdziałaniu powstaniu w 2010 r. wielkiej koalicji „pomarańczowych” z „błękitnymi”, w ramach której Tymoszenko miała być premierem, a Janukowycz – prezydentem (w nowej konstelacji ustrojowej, zmierzającej, jak planowano, w stronę ustroju „kanclerskiego”). To także RUE aktywnie lobbowała za uwięzieniem „żelaznej Julii”.

Ten przypadek ilustruje kilka reguł ukraińskiej polityki. Po pierwsze, realna gra polityczna toczy się u naszych sąsiadów

przeważnie z dala od fasadowej w dużej mierze demokracji – między wielką polityką a wielkim biznesem. Po drugie, stawka jest bardzo wysoka: ceną porażki może być bankructwo lub utrata wolności, a nawet życia. Po trzecie, walka odbywa się często kosztem ukraińskiego interesu publicznego. Po czwarte, w ferworze tej walki nawet wytrawny gracz może zatracić trzeźwość oceny sytuacji.

Państwo klanowe

Wiemy dobrze, jak szkodliwe dla Polski są nadmierne wpływy nieformalnych grup interesów, takich jak kliki z pogranicza polityki, biznesu, świata przestępczego, służb specjalnych. Przy ich ukraińskich odpowiednikach wyglądają one jednak jak młodociani dresiarze przy prawdziwych mafiozach. Badacze Europy Wschodniej nazwali te naddnieprzańskie struktury władzy „klanami”, zwracając uwagę na dużo głębsze niż w naszym regionie zawłaszczenie przez nie państwa. Jak pisze Janine Wedel: „Pojedyncze klany, z których każdy kontroluje jakąś część własności i zasobów, są tak blisko powiązane z poszczególnymi ministerstwami czy instytucjami rządowymi, że praktycznie niemożliwe jest rozróżnienie działań państwa od działań klanu”.

Ukraina państwem klanowym jest od czasów prezydenta Kuczmy. Stała się wtedy krajem „zawłaszczonym przez nieformalne grupy i charakteryzującym się własnością prywatną i olbrzymią korupcją”. Oligarchowie kontrolują najważniejsze gałęzie gospodarki, media (w tym praktycznie cały rynek telewizyjny) i wiele urzędów, sponsorując w wyborach parlamentarnych – całkiem jak XVIII-wieczna magnateria polska – dziesiątki swoich

deputowanych-klientów, by reprezentowali tam ich interesy.

W latach 90., w oparciu o rozkradzony majątek narodowy i prywatyzację państwa, ukształtowały się trzy główne, wielkie klany: dnepropietrowski, kijowski i doniecki. Pierwszy rozpadł się na wiele pomniejszych grup po tym, jak jego czołowy reprezentant premier Paweł Łazarenko, urósłszy niepomiernie w siłę, rzucił wyzwanie samemu Leonidowi Kuczmie i został w odwecie zniszczony, zmuszony do emigracji, a w końcu skazany w San Francisco za pranie brudnych pieniędzy.

Czym był Majdan? Pomimo ewidentnych prób jego instrumentalizacji przez różne strony niewątpliwie także fenomenalnym zrywem republikańskim. Pod pewnymi względami przypominał pierwszą „Solidarność”

To przy Łazarenku, zaangażowanemu w malwersacje na wielką skalę (a prawdopodobnie również w zabójstwa konkurentów), karierę zaczęła Julia Tymoszenko, w przeddzień upadku swego patrona odchodząc „na swoje” i zakładając partię Batkiwyszczyna, która dziś ponownie przejmuje kluczowe stanowiska w państwie.

Klan kijowski, skupiony wokół szefa kancelarii Kuczmy, Wiktora Medwedczuka, był silny w większym stopniu wpły-

wami politycznymi niż bogactwem. Uległ stopniowemu rozdrobnieniu i marginalizacji po odejściu Kuczmy z polityki.

Na scenie pozostał klan doniecki, z najbogatszym Ukraińcem Rinatem Achmetowem na czele. Jego polityczną reprezentacją była Partia Regionów (wcześniej pod inną nazwą). Z Janukowyczem, który stopniowo ewoluował od zwykłego reprezentanta wschodnich oligarchów do samodzielnego gracza.

„Pomarańczowi” i oligarchowie

„Pomarańczowa rewolucja” zwana była „rewolucją milionerów przeciwko miliarderom” ze względu na poparcie pomniejszych oligarchów i tłamszonej klasy średniej. Uniemożliwiła ona Janukowyczowi płynne przejście schedy po Kuczmie. Jednak w kategoriach „klanowej” ekonomii politycznej była załączkiem jego przyszłych sukcesów i triumfem oligarchów.

Obawiając się bowiem nowego, nieprzewidywalnego gracza na urzędzie bardzo silnego wówczas prezydenta, klany przeforsowały osłabiającą władzę wykonawczą reformę ustrojową, która ustanowiła system parlamentarno-prezydencki, podobny do polskiego z czasów „małej konstytucji”. Jej skutkiem była ostra rywalizacja głowy państwa z premierem, konkretnie w postaci „wojny na górze” między liderami Majdanu z 2004 r., Juszczenką i Tymoszenko. Szybko doszło do politycznego paraliżu, w którym klany mogły dużo skuteczniej (niż gdyby krajem administrował jeden silny ośrodek) forsować swoje interesy i rozgrywać konkurujące żywiołowo urzędy prezydenta i szefa rządu.

W tym kontekście „pomarańczowa rewolucja” była modelowym przykładem szybkiej pacyfikacji wywrotowego zrywu

republikańskiego przez dominujące elity oraz neutralizacji bądź kooptacji liderów buntu.

Tragedia Janukowycza

Polityczną klęskę tego przedsięwzięcia skonsumował Janukowycz, którego panowanie po 2010 r. przyniosło nową jakość w kilku wymiarach. Po pierwsze, jako wzmocniony – cofnięciem reformy ustrojowej z 2004 r., marginalizacją opozycji i sprowadzeniem koalicjantów do roli satelitów – prezydent i lider największej partii dokonał bezprecedensowej koncentracji władzy. Po drugie, skutecznie zjednał sobie poparcie oligarchów (przede wszystkim klanu donieckiego, ale nie tylko), jednocześnie odcinając konkurentów od zaplecza biznesowego. Oznaczało to jednocześnie, po trzecie, bezprecedensową dominację jednego z klanów nad pozostałymi.

Po czwarte, rozpoczął Janukowycz budowę własnego klanu („rodziny”), zmierzając do uniezależnienia się od oligarchów. Temu służyło także wzmocnienie grupy RUE jako taktycznej przeciwwagi dla potężnego Achmetowa i innych „donieckich”.

Tym ostatnim Janukowycz wywołał niepokój wśród oligarchów. O jego konflikcie z Achmetowem spekulowano wielokrotnie, a po klanach szemrano o scenariuszu „putinizacji” Ukrainy, lękając się podzielenia losu Michaiła Chodorkowskiego. Jakkolwiek na to Janukowycz był nawet po kilku latach u władzy dalece zbyt słaby, to niewątpliwie rozrost „rodziny” czy śledztwa przeciwko członkom dawnego klanu dniepropietrowskiego dawały podstawy, by sądzić, że z czasem sytuacja może się stopniowo upodobnić do rosyjskiej.

To dlatego zapewne musiał się Janukowycz hojnie magnatom opłacać: za jego prezydentury oligarchizacja gospodarki, z koncentracją własności poszczególnych jej segmentów w rękach pojedynczych osób i grup – osiągnęły szczytowy poziom. Zenitu sięgnęła zarazem ukraińska kleptokracja: podczas gdy fortuny nielicznych (w tym Achmetowa) rozkwitły, drenaż zwykłych ludzi, w tym zwłaszcza klasy średniej (niebędącej elektoratem Partii Regionów) był większy niż kiedykolwiek, aż kraj jako całość znalazł się nad gospodarczą przepaścią.

Dochodzimy do tegorocznego zwycięstwa Majdanu. Wydaje się pewne, że bez przejścia parlamentarnej klienteli Achmetowa i innych oligarchów z Partii Regionów na stronę opozycji, przewrót z 21/22 lutego nie byłby możliwy. Wcześniej najbogatszy Ukrainiec wielokrotnie bronił publicznie prawa do protestów i przestrzegał przed scenariuszem siłowym. Co wskazuje, że prawdopodobnie traktował Majdan jako instrument nacisku na uciekającego spod jego wpływów Janukowicza.

Tak samo, za pewne, widział to Władimir Putin. Od niego również – mimo prorosyjskiej powłoki – były prezydent stopniowo się uniezależniał; co więcej, czynił to, a w sumie znacznie skuteczniej niż „mocni w gębie, słabi w czynie” „pomarańczowi”. Świadczy o tym neuralgiczna dla Ukrainy energetyka. Janukowycz obronił krajowe rurociągi przed rosyjskim przejęciem i wszedł w kilka ważnych projektów dywersyfikacyjnych (m.in. Gazociąg Transanatolijski, Odessa–Brody, rewers dostaw z UE).

Szef Partii Regionów prowadził więc tradycyjną dla niepodległej Ukrainy politykę „wielowektorowości”, czyli lawirowania między Rosją a Zachodem, ze wska-

zaniem na stopniowe uwalnianie się od wpływów Kremla. Jednak za jego kadencji pojawiły się tu po raz pierwszy od lat istotne sukcesy, i to pomimo radykalnego pogorszenia po 2008 r. sytuacji geopolitycznej, wyznaczanego przez wycofanie Amerykanów z Europy i wzrost rosyjskiej presji na byłe kraje sowieckie.

W tym świetle trzeba patrzeć na rosyjskie prowokacje na Majdanie, służące eskalacji słabnącego konfliktu – dla osłabienia niepokornego Janukowicza. A w scenariuszu siłowym – obciążenia go krwią protestujących i w ten sposób odcięcie od możliwości porozumienia z opozycją i skompromitowania w oczach Zachodu. Innymi słowy, Kreml chciał „białorusinizacji” Ukrainy.

Sytuacja wymknęła się jednak spod kontroli (także za sprawą nadspodziewanie dużej, oddolnej siły Majdanu) i Janukowycz został obalony. W tym kontekście jawi się on jako postać niemal tragiczna: wytrwałe „stawianie się” Kremlowi i dążenie do osłabienia oligarchów przyplacił finalnie odejściem w niesławie krwawego dyktatora i – o ironio – „marionetki Putina”.

Czy Majdan trwale zmieni Ukrainę?

Czym był natomiast Majdan? Pomimo ewidentnych prób jego instrumentalizacji przez różne strony niewątpliwie także fenomenalnym zrywem republikańskim. Pod pewnymi względami przypominał pierwszą „Solidarność”: jako nagła erupcja politycznej samoorganizacji, jako symboliczno-aksjologiczny miks odwołań do Sicy Zaporoskiej, prawosławnej religijności, nacjonalizmu. Zaczął się niepozornie i niefortunnie, od pięknoduchowskiego protestu przeciwko wymuszonemu na Ukrainie (poprzez sposób konstrukcji

oferty) odrzuceniu umowy stowarzyszeniowej z UE, za co protestujący niesłusznie obwinili Janukowycza. Stopniowo przekształcił się w wytrwały ośrodek walki o zmianę władzy i cywilizacyjny awans Ukrainy.

Jeśli ten ostatni miałby się dokonać, musiałyby się wydarzyć kilka rzeczy zasadniczo odróżniających tegoroczny bunt od tego sprzed dekady. Po pierwsze, Majdan musiałby wygenerować program rozbicia (lub przynajmniej znacznego osłabienia) kleptokratycznej oligarchii, która drenuje społeczeństwo i utrzymuje kraj w permanentnym zacofaniu. Wymaga to podtrzymania rewolucyjnego wzmożenia, lecz także – pozyskania dla dzieła przebudowy kraju ludności ze wschodu Ukrainy.

Po drugie, Majdan musiałby wyłonić nowych liderów (czego dotychczas nie dokonał) lub trwać jeszcze długo jako ośrodek nacisku na starych. Po trzecie, w transformację Ukrainy musiałby się poważnie zaangażować Zachód, dając warunkową (uzależnioną od realizacji programu antyoligarchicznego, w mniejszym stopniu od otwarcia rynków), ale hojną pomoc finansową.

Wreszcie, musiałyby zostać odparte zakusy Rosji, która w sytuacji zagrożenia trwałym „urwaniem się” Ukrainy może zacząć na poważnie – a nie taktycznie, jak dotychczas – grać na rozpad kraju.

Niestety, jednoczesne spełnienie wszystkich tych warunków wydaje się bardzo mało prawdopodobne.

Machiavelli na Majdanie



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Podczas rewolucji na Ukrainie z ust niektórych komentatorów popłynął potok neoromantycznych frazesów. W efekcie dyskurs wokół naszej polityki zagranicznej staje się irracjonalny.

„Krew zabitych i zmasakrowanych Ukraińców jest na rękach Tuska, Sikorskiego, Komorowskiego. Oczywiście, także przywódców świata zachodniego z Merkel na czele. Czekali, nic nie robili, podlizywali się rosyjskiemu satrapie, jak niegdyś Chamberlain Hitlerowi” – tak dla „wSieci” jeszcze podczas trwania igrzysk komentował wydarzenia na Ukrainie Krzysztof Czabański, znany publicysta, redaktor i dziennikarz z wieloletnim stażem. Domagał się przy tym natychmiastowego wycofania się z zawodów w Soczi i odwołania polskiego ambasadora w Moskwie, sugerując, że wszystkiemu są winni Rosjanie.

W strzelisty sposób wypowiadał się Paweł Kukiz dla „Do Rzeczy”: „Modłę się za Was codziennie, Bracia i Siostry na Majdanie. Modłę za Waszą Ojczyznę, za wolność, za zwycięstwo. Wiem, że Duch Święty jest z Wami. Bo czułem Go całym sobą, tam – przy 94 krzyżach pod Czarną Barykadą”.

Nawet Adam Michnik nie wytrzymał i wspominając zapewne czasy swojej mło-

dości, napisał płomienną odezwę do „braci Ukraińców”. Zasugerował w niej, że to Janukowycz jest winny wszelkim bolączkom społeczeństwa ukraińskiego, gdyż: „Naród został okłamany przez manipulatorów, którzy choć wybrani demokratycznie, poprzez pełzający zamach stanu przekształcali Ukrainę w państwo dyktatury i korupcji”.

Politycy starali się być ostrożniejsi od publicystów, jednak i oni ulegli w końcu licytacji na to, komu serce bardziej krwawi, kto mocniej popiera, kto pierwszy odwiedzi protestujących, a potem kto zdradził Majdan, a kto popierał naprawdę.

Zapytajmy o interesy i rację stanu

Wzmożenie moralne i emocjonalne jest w takich sytuacjach zrozumiałe, a nawet potrzebne. Odwaga i republikański duch zwykłych Ukraińców zasługują na uznanie. Poświęcenie ofiar Majdanu należy uszanować.

Gdy jednak te uczucia i gesty zastępują nam chłodną ocenę politycznych

realiów, składających się z niemających nic wspólnego z sentymentami interesów i układów sił – jesteśmy na drodze do umysłowej i politycznej klęski.

Powyższe wypowiedzi, wraz z dziesiątkami im podobnych, były reprezentatywne dla dominującego nurtu polskiej debaty o ukraińskiej rewolucji. Ten ton zjednoczył PiS, PO i pomniejsze partie, a także intelektualną prawicę, centrum i lewicę.

W tej narracji nie było na Ukrainie żadnej gry interesów, którą można by rozpatrywać z punktu widzenia polskiej racji stanu. Janukowycz nie reprezentował żadnych interesów i poglądów Ukraińców, opozycja też nie. To była czysta eschatologia: krwawy, skorumpowany dyktator, a naprzeciwko powstały z kolan bohaterski naród i jego szlachetni przywódcy. Dobro kontra zło.

Zamieniając kategorie polityczne na etyczne i psychologiczne, tracimy z pola widzenia polski interes narodowy. Nikt o niego nie pyta, nikt go nie definiuje, nikt się nie zastanawia, jak go odnaleźć w tej skomplikowanej i płynnej sytuacji. Jaskrawe bzdury przyjmuje się więc jako aksjomaty i powtarza po tysiakkroć jako oczywistości.

Jakiego rozwoju wypadków na wschodzie domaga się polska racja stanu? Nade wszystko potrzebujemy Ukrainy niezależnej od Rosji. Bo wtedy wpływy Kremla są odsunięte dużo dalej od nas, a sam jego wielkomocarstwowy status staje się bez strategicznie kluczowego Kijowa wątpliwy.

Po drugie, potrzebujemy Ukrainy propolskiej. Nie – a w każdym razie nie w pierwszej kolejności – prozachodniej czy prounijnej, ale przyjaznej nam konkretnie. Bo wtedy tworzymy z 45-milionowym narodem blok tamujący rosyjskie

ambicje imperialne znacznie skuteczniej, niż gdybyśmy to robili osobno lub zwalczając się nawzajem. Stajemy się też magnesem geopolitycznym dla innych krajów regionu.

Po trzecie, potrzebujemy Ukrainy w miarę możliwości praworządnej. Bo wtedy będzie ona bardziej przewidywalna i będzie z nią łatwiej przeprowadzać wspólne projekty wszelkiego typu.

Machiavelli po odwiedzeniu Majdanu doradzałby Polsce prowadzić swoją politykę tak, by móc rozmawiać z każdym, nie ufać nikomu

W tych trzech punktach zawiera się moim zdaniem docelowy stan, do którego powinniśmy dążyć, nawet jeśli w danej chwili wydaje się nieskończenie odległy. One powinny organizować nasze myślenie i działanie względem Ukrainy.

W tej optyce przyjmowany obecnie bezwiednie aksjomat o wspieraniu integracji Kijowa z Unią Europejską jest już nieoczywisty, a nawet problematyczny. Bo czy rzeczywiście chcemy poddać Ukrainę rygorom unijnej polityki klimatycznej, która by jej gospodarkę błyskawicznie zniszczyła? Czy chcemy, aby przedsiębiorstwa sąsiadów popadały w nierównej konkurencji z zachodnioeuropejskimi?

Niebiescy, pomarańczowi i Moskwa

Z powyższego wynika też, że powinniśmy utrzymywać dobre kontakty z Ukrainą niezależnie od tego, czy jest akurat „pomarańczowa”, „błękitna”, czy jakakolwiek

inna. Bo uzależnianie przyjaźni od zmiennego u zoligarchizowanych sąsiadów stosunku do demokracji i praw człowieka grozi pchaniem ich w objęcia Rosji, gdy akurat rządzi opcja mniej liberalna.

Ale my nie myślimy w ten sposób. Zamiast tego, kierowani poczuciem misji i zrywem serca, wielbimy raz na dziesięć lat ukraińskie zrywy obywatelskie, a przez resztę czasu marszczymy się na niedostatek demokracji i udajemy, że to jakiś inny, obcy kraj.

Patrząc w ten sposób, nie można dostrzec ewidentnego dla Polski kłopotu wynikającego z faktu, że wobec nieurodzenia przez Majdan nowej generacji przywódców owoce rewolucji konsumują i będą konsumować starzy. Przede wszystkim obóz Julii Tymoszenko, która już w przeszłości Ukrainą rządziła i deklarowała rozbitcie oligarchii, a prawie nic w tej sprawie nie zrobiła.

Julia zapowiadała uniezależnienie od Rosji, a uwikłała kraj w rujnujący kontrakt z Gazpromem i nic nie zdziałała w kwestii zbliżenia z Zachodem. Dziś wraca w glorii męczennicy „kryminalisty” Janukowycza, a jej ludzie obejmują kluczowe stanowiska państwowe. Paradoksalnie, wydaje się przy tym, że to ona jest obecnie prezydentką opcją, którą najłatwiej będzie zaakceptować Władimirowi Putinowi.

Alternatywy? Rosnący na znaczeniu szowiniści ze Swobody i Prawego Sektora, czczący autorkę ludobójstwa Polaków na Wołyniu, Ukraińską Armię Powstańczą. I kreowany przez Angelę Merkel na męża opatrnościowego Witalij Kliczko ze swoim UDAR.

Idealistyczna, romantyczna narracja o Ukrainie stepiła polski rozum polityczny do tego stopnia, że mówienie o Janukowyczu per „marionetka Kremla” stało się nagminne. To czysty absurd: eksprezydent

zrobił dla uniezależnienia Kijowa od Moskwy znacznie więcej niż pomarańczowi. Obronił ukraińskie rurociągi przed przejęciem przez Rosjan, rewersował dostawy gazu z Polski, Węgier i Słowacji, dołączył do azersko-tureckiego Gazociągu Transanatolijskiego. Proponował także (bezsukutecznie) Warszawie reanimację rurociągu Odessa–Brody–Płock.

Nie zapominajmy też o ostrej reakcji rosyjskich mediów po tym, jak w 2011 r. Wiktor Janukowycz pojechał do Polski, by nieoficjalnie spotkać się z Barackiem Obamą. Mówiło się nawet, że były prezydent Ukrainy proponował wtedy Amerykanom przejęcie obecnie dzierżawionej przez Rosjan bazy w Sewastopolu.

Dominujące polskie elity, bezwiednie poddając się idealistycznemu amokowi, nie rozumieją rzeczy wydawałoby się oczywistej: ktokolwiek rządzi Ukrainą, musi się liczyć z potęgą, presją i sporymi wpływami Rosji w swoim kraju. A co za tym idzie – prowadzić politykę takiego lawirowania między Kremlem a Zachodem, żeby oddać temu pierwszemu możliwie najmniej, zachowując najważniejsze aktywa i zyskując, co się w danej chwili da, dla poszerzenia ukraińskiej niezależności.

Nie inaczej robił Janukowycz, do czasu, gdy sytuacja wymknęła mu się spod kontroli, uniemożliwiając porozumienie z Majdanem, izolując go od Zachodu i popychając w stronę Moskwy. Nie inaczej będzie robić niedawna opozycja, teraz obciążona dodatkowo zagrożeniem rychłego bankructwa państwa, do którego wykorzystania dla własnej korzyści Rosja będzie o wiele bardziej skora niż Zachód.

Idealistyczne spaczenie sprawia, że zapominamy o polskim interesie narodowym. Kibicujemy „dobrym”, warczymy na „złych” dokładnie tak samo jak podczas pomarańczowej rewolucji, na której jed-

nostronnym poparciu nic nie wygraliśmy, za to przegraliśmy możliwość ułożenia sobie pragmatycznie życzliwych relacji z Ukrainą „błękitną”. Niby rozumiemy, że ta ostatnia nie zniknie – tak jak nie zniknęła 10 lat temu – nawet jeśli Partia Regionów odejdzie w niebyt, ale zachowujemy się tak, jak byśmy nie rozumieli. Jakby zżerająca wschodniego sąsiada korupcja, zacofanie i nędza były wyłącznym dziełem „kryminalisty” Janukowycza, a nie trwającymi nieprzerwanie od 20 lat plagami narodowymi.

O obłąd niemal ociera się bowiem sąd, iż liderzy opozycji muszą być dobrzy tylko dlatego, że walczą ze złym dyktatorem. Jeszcze bardziej obłądne jest zaś niezrozumienie tego, że nie wiedząc, jakie będą rezultaty i mając ograniczone środki, wielu sprytniejszych od nas polityków postawiło tymczasowo działać powściągliwie. Skąd bowiem przekonanie, że rewolucja na Ukrainie skończy się inaczej niż rewolucja w Egipcie?

Ukraina a sprawa polska

Nie chodzi oczywiście o to, żeby z czegokolwiek byłego prezydenta rozgrzeszać. Rozkradł wiele narodowego majątku i odpowiada politycznie za masakry na Majdanie. Jednak jeśli nasza debata publiczna ma służyć korzystnej dla Polski polityce, to musimy się zdobyć na analizę obiektywnych interesów, które reprezentują dyktatorzy, zwłaszcza dyktatorzy naszych ważnych sąsiadów.

W Polsce mało kto jednak w ten sposób rozmawia. Dominujące narracje przesyca narcyzm, o którym w poprzednim numerze „Nowej Konfederacji” pisał Bartłomiej Radziejewski. Doskonale widać go w charakterystycznym pomieszaniu naturalnych, ludzkich odruchów (takich jak

współczucie dla niewinnych ofiar) z kwestiami politycznymi, w których z natury rzeczy nie można się kierować przeciw emocjami.

W Polsce tenże narcyzm nakłada się na nasz tradycyjny idealizm. To on pozwolił nam udawać, że zachowaliśmy resztki godności po miażdżących politycznych klęskach. Byliśmy moralnymi zwycięzcami, bo nie oddaliśmy Gdańska Hitlerowi ani Torunia Fryderykowi Wielkiemu, który chciał go otrzymać w zamian za poparcie naszych reform. Zawsze mogliśmy innym rzucić w twarz, że są obojętnymi szujami, a my, jako wybrany naród Europy „cierpimy za miliony”.

Po tylu latach można by oczekiwać, że czegoś się nauczymy, że coś zrozumiemy. W kraju tak ciężko doświadczonym przez historię biblia realistów, jaką jest „Książę” Machiavellego, powinna być obowiązkową lekturą szkolną, a tak liczne (do niedawna) wydziały politologii i dziennikarstwa powinny kształcić samych sprytnych dyplomatów oraz rzutkich redaktorów.

Co powinniśmy zrobić?

Wspomniany Machiavelli po odwiedzeniu Majdanu zapewne doradzałby Polsce prowadzić politykę tak, by móc rozmawiać z każdym, nie ufać nikomu.

Mieliśmy pewne obiecujące dla nas sygnały płynące i od niebieskich. Za nasze zapatrzenie w pomarańczowych w ostateczności dostaliśmy zaś tylko kilka nowych pomników Stepana Bandery. Nie należy naturalnie przesądzać, że banderowskie afiliacje determinują jakąś dogłębną, programową antypolskość części liderów Majdanu. Zawsze należy sobie jednak zadać pytanie o to, co dostajemy w zamian za to, że na takie sprawy przyemykamy oczy?

Nie mamy odpowiednich środków, by politycznie krajem wielkości Ukrainy w jakimś określonym kierunku sterować. Musimy go więc na razie przyjąć takim, jaki jest, a zatem zaakceptować permanentnie oligarchiczny charakter tamtejszych stosunków społecznych i zmienność opcji politycznych u władzy, z całym „dobrodziejstwem inwentarza”.

Równocześnie powinniśmy budować zaplecze dla polskiego biznesu i go intensywnie na Ukrainie promować. Kraj ten jest jednak dla nas zbyt ważnym partnerem, by w mętnej wodzie politycznych układów nie próbować łowić ryb.

Prowadząc asertywną politykę historyczną, nie możemy też zapominać o innych działaniach z arsenału soft power. W Kijowie można utworzyć Instytut Polski promujący naukę naszego języka i polską kulturę. Można również – na większą niż obecnie skalę i w sposób lepiej przemyślany – fundować ukraińskim studentom stypendia na polskich uczelniach.

Miękka propolskość, rozbudzona naszym niedawnym entuzjazmem, zadziała jednak na dłuższą metę tylko, jeśli uda

nam się Ukrainę związać długoterminowymi projektami o strategicznym znaczeniu. Jedynie w takim układzie każdy kolejny ukraiński rząd nie będzie bowiem mógł ot tak wycofać się z przyjaźni z Warszawą.

Nade wszystko musimy jednak pamiętać, że nowa władza, która obecnie kształtuje się na Ukrainie, zapewne już wkrótce sama polegnie pod kolejną falą niezadowolenia społecznego. Musimy więc mieć przychylnych nam ludzi w każdym obozie. Wbrew szumnym deklaracjom naszych publicystów absolutnym standardem cywilizowanej polityki międzynarodowej jest bowiem odrywanie jej od osobistych moralnych sentymentów.

W państwach, które dojrzały, asertywną politykę zagraniczną prowadzą od stuleci, takich rzeczy nie trzeba naturalnie mówić głośno, bo po co? Dla ich publicystów, dyplomatów i polityków myślenie kategoriami racji stanu jest absolutnie oczywiste. Polakom należy zaś czasami przypominać, że są obywatelami niepodległego kraju, który musi bezwzględnie dbać o swoje interesy. Nikt przecież tego za nas nie zrobi.

Wojna polsko-polska o sąsiada



KRZYSZTOF BOSAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Tym, co w debacie o właściwym stosunku do wydarzeń w Kijowie podzieliło nas rzeczywiście głęboko, jest różny stosunek do samych siebie i różny typ wyznawanego patriotyzmu.

Trwająca przez ostatni kwartał debata wokół wydarzeń na Majdanie to jeden z najbardziej interesujących sporów politycznych ostatnich lat. Pokazał on wyraźnie, że tym, co dzieli polskich patriotów, wbrew obiegowemu przekonaniu, nie jest wyłącznie lokowanie politycznego zaufania w różnych aktorach politycznej rywalizacji. Różni ich przede wszystkim sposób rozumienia patriotyzmu i przeżywania polityki.

Patriotyzm narodowy i romantyczny

Nie mogąc uciec od uproszczeń, spróbujmy więc nazwać dwa typy patriotyzmu, które debata o wydarzeniach na Ukrainie uwypukliła. Byłby to patriotyzm „romantyczny” i patriotyzm „narodowy”. Ich logiczną konsekwencją są zaś dwie możliwe perspektywy patrzenia na dynamiczne zmiany u naszego wschodniego sąsiada. Nazwijmy je perspektywą „mesjanistyczną” i perspektywą „realistyczną”.

Kim są „romantycy”? Głosy najbardziej wyraziste należały chyba do Agnieszki Romaszewskiej (TV Bielsat) czy Dawida

Wildsteina („Gazeta Polska Codziennie”), choć postawę swoistego antyreżimowego mesjanizmu przyjęła znaczna część patriotycznej inteligencji. Z kolei głos „narodowy” artykułowali w interesujących tekstach tacy publicyści jak uważający się za republikanina Tomasz Kwaśnicki (Kresy.pl) czy wywodzący się z kręgów endeckich Karol Kaźmierczak (Prawy.pl). Przyznać trzeba jednak, że ci ostatni starali się ważyć racje w swoich tekstach, a radykalnie „realistyczne” stanowisko prezentowali – przy wszystkich dzielących ich różnicach – komentatorzy tacy jak ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, Cezary Kaźmierczak czy prof. Adam Wielomski.

Jest rzeczą dość oczywistą, że obie strony sporu o ukraiński Majdan skupiały swą uwagę na odmiennych rzeczach. Strona „romantyczna” akcentowała przemoc obozu władzy, zaś strona „narodowa” podkreślała wagę niezamkniętych rozrachunków ze złowrogim ukraińskim nacjonalizmem i brak oczywistego związku pomiędzy zwycięstwem obozu rewolucyjnego a polską racją stanu.

Bezwzględność romantyków

Pierwszą rzeczą, która wydaje się zdumiewająca, jest to, że przy całej swojej autentycznej chyba wrażliwości przedstawiciele obozu „romantycznego” mają jej znacznie więcej dla Ukraińców niż dla swoich własnych rodaków. Trauma rzezi wołyńskiej, błakająca się gdzieś w polskiej świadomości i podświadomości narodowej, jest faktem. Brak historycznego zamknięcia tego tematu – podobnie. Tymczasem nasi „romantycy”, zadekretowawszy fakt polsko-ukraińskiego pojednania, bez skrepowania artykułują żądania, by rodacy posiadający wątpliwości czy dostrzegający głosy nijak do przyjętej oceny niepasujące po prostu zamilkli.

Proces dyscyplinowania polskiej opinii odbywa się na różne sposoby, a pojawiające się chwytły momentami zaskakują bezwzględnością, szczególnie, że posługują się nimi ludzie, którzy werbalnie odrzucają jakikolwiek makiawelizm. Są więc niepoparte niczym poza przypuszczeniami oskarżenia o funkcjonowanie na prawach szkodliwej, obcej agentury, są insynuacje niskich politycznych motywacji, są wreszcie sugestie zaburzenia oglądu rzeczywistości przez narodowe uprzedzenia i kompleksy zarazem.

To, co jest charakterystyczne, to odmowa merytorycznej dyskusji, kamuflowana psychologizowaniem i oceną wszelkich przytaczanych faktów jako sztucznie eksponowanych zjawisk z marginesu. Rolą mających wątpliwości Polaków jest milczeć. Gdy zaczynają mówić i drażyć – szkodzą wyższej sprawie.

Niekonsekwencja narodowców

Po drugiej stronie sporu też nie brakuje postaw, które przy bliższej analizie wydają

się co najmniej niekonsekwentne. Skala i ton krytyki, z jaką spotkały się antyrządowe wystąpienia Ukraińców, wskazują, że część „narodowo” nastawionych Polaków uprzedzona jest nie tylko do czczących UPA ukraińskich nacjonalistów, ale do wszystkich Ukraińców, a nawet Polaków ujmujących się za ukraińską sprawą.

**Strona „romantyczna”
akcentowała przemoc obozu
władzy, zaś strona
„narodowa” podkreślała
wagę niezamkniętych
rozhanków ze złowrogim
ukraińskim nacjonalizmem**

W takiej optyce Ukraińcy okazują się niejako genetycznie skażeni skłonnościami do zachowań barbarzyńskich. Tym, co wydaje się warte odnotowania, jest to, że brak chyba analogicznego podejścia do narodu niemieckiego, mimo iż jego przedstawiciele pozbawili życia znacznie większą liczbę naszych rodaków niż Ukraińcy. Warto też zauważyć, że tego typu trwałe narodowe uprzedzenie nie ma wiele wspólnego z kulturową koncepcją narodu, wyznawaną przez rzeczywistych polskich narodowców. Naród w ich ujęciu był zawsze rzeczywistością dynamiczną i zmienną, a nie bytem raz nadanym, o niezmiennym charakterze.

Interesująca jest również swoista niekonsekwencja polskich „realistów”. Trafnie odnotowują oni słabość państwa polskiego i brak możliwości realnego wpływu na przemiany polityczne w Kijowie. Zapewne

trafnie diagnozują brak przewidywalnego związku między rewolucją a polską racją stanu. Ale zarazem nie dostrzegają rzeczywistego procesu zachodzącego na poziomie społecznym: powszechnych i trudnych do zanegowania odruchów solidarności ze strony Polaków i stopniowego przewartościowywania postaw ze strony sporej części Ukraińców.

Można się spierać, na ile takie tendencje są trwałe. Można wskazywać na luźny związek polityki rządów z emocjami na poziomie społeczeństw. Wypada jednak zapytać, czy rzeczywiście jest wyrazem realizmu formułowanie takiej narracji politycznej, która szlachetne odruchy znacznej części społeczeństwa sprowadza do roli nieodpowiedzialnej manii i przyływu politycznej głupoty?

Wielu konserwatywnych „realistów” jest nastawionych krytycznie względem demokracji. Dlaczego więc utyskują, że ten nienadający się ich zdaniem do rządzenia lud okazuje prostolinijne uczucia, zamiast przyjmować poży charakterystyczne dla doświadczonych politycznie mężów stanu?

Realistyczne rozważania o wariantach międzynarodowych przesileniach politycznych były, są i będą rozważaniami w dużym stopniu hermetycznymi. Wyrazem realizmu byłoby to przyznać i sformułować ocenę dynamiki stosunków pomiędzy Polską a Ukrainą oraz pomiędzy Polakami

a Ukraińcami, odpowiadającą większościowej wrażliwości politycznej własnych rodaków.

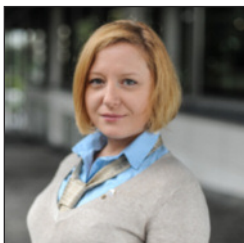
Czas na poważne rozmowy

Z takich całkowicie znoszących się wzajemnie punktów widzenia, jak te powyżej zarysowane, wyłamuje się oczywiście wiele stanowisk w jakiś sposób wypośredkowanych, otwartych na dyskusję i chętnych do argumentacji bez prób moralnego czy intelektualnego dyskredytowania drugiej strony.

Bogata debata wewnętrzna w ostatnich miesiącach odbyła się przecież wśród sympatyków idei narodowej. Okazało się wtedy, że wielu realistów nie odżegnuje się od celów wykraczających poza wąsko i doraźnie pojęty interes państwa, a wśród sympatyków Majdanu nie brak też ludzi, którzy nie próbują zamykać oczu na elementy układanki słabo pasujące do uproszczonych wyobrażeń.

Wydaje się, że pozostający w tle oceny ukraińskiej rewolucji spór o właściwy model polskiego patriotyzmu nieco sparaliżował wymianę argumentów. Nadszedł więc czas na rozmowę o sprawach fundamentalnych. Najlepiej zacząć ją właśnie teraz: gdy największe emocje zdążyły już ostygnąć i na świeżo ukształtowane podziały zaczynamy patrzeć z odrobiną dystansu.

Wiosny Ukraińców, czyli historia lubi się powtarzać



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Nowi „demokraci”, wyrosli na protestach w Kijowie, to głównie starzy znajomi. Do władzy pchają się więc ci, którzy w przeszłości nie wykazali się wielkim przywiązaniem do praworządności.

Po raz drugi w przeciągu 10 lat Ukraińcy wyszli na ulice. Po raz drugi Wiktor Janukowycz został obalony w Kijowie. Trudno się nie cieszyć, że bandyci, którzy dokonali masakry na ulicach ukraińskiej stolicy, zostali pokonani. Ale czy następny rząd ukraiński będzie bardziej udany niż jego poprzednicy? Patrząc na wynik pomarańczowej rewolucji, która przetoczyła się przez kraj w 2004 r., pewna dawka sceptycyzmu jest wskazana.

Oligarchowie dzielą i rządzą

Wbrew oczekiwaniom „pomarańczowi” nie rozbili bowiem systemu oligarchicznego, który ukształtował się na Ukrainie podczas rządów prezydenta Leonida Kuczmy w latach 1994–2004. Dziś, 10 lat później, Ukraina to wciąż podzielony kraj ze słabym, przeżartym korupcją państwem (które bez ogródek można określić mianem państwa drapieżczego) i nieefektywnymi instytucjami.

Jeśli oligarchowie po przetasowaniach, które wydarzyły się w następstwie

pomarańczowej rewolucji, stracili wpływ, to tylko po to, by zrobić miejsce innym. Przywództwo polityczne praktycznie wszystkich ważniejszych partii jest mniej lub bardziej zależne od biznesu, któremu jak dotąd zawsze udawało się obronić własne gospodarcze i polityczne interesy.

To, że część oligarchów otwarcie sponsorowała Euromajdan, jak choćby „król czekolady” Petro Poroszenko, wskazuje na to, iż i z tej rewolucji wyjdą obronną ręką i znajdą wspólny język z nową władzą. Nowi „demokraci”, wyrosli na protestach w Kijowie, to zresztą głównie starzy znajomi.

Z więzienia wyszła była premier Julia Tymoszenko, której osobiste ambicje przyczyniły się do zaprzepaszczenia osiągnięć poprzedniego zrywu. Silna dominacja w nowych, przejściowych władzach jej partii Batkiwyszczyny rodzi niebezpieczeństwo, że i tym razem bunt skończy się na zmianach kosmetycznych. Fasada będzie odświeżona, a zgnilizna pod spodem przetrwa.

Gdy Tymoszenko została premierem w 2005 r., zapowiedziała „oczyszczenie

kraju” z gospodarczej mafii. W rzeczywistości zwalczała jednak głównie oligarchów związanych z wrogą jej Partią Regionów Janukowycza, poszerzając pole działań tych, którzy ją wspierali.

Kiedy konflikt przekształcił się w walkę na wszystkie fronty, doszło do niemal całkowitego paraliżu państwa. Tym razem może być podobnie. Gdy minie entuzjazm i poczucie walki ze wspólnym wrogiem, obecnie zjednoczona ukraińska opozycja znów może się podzielić, mogą wrócić różnice ideologiczne i stare animozje. Walka o wpływy i majątki.

Powrót do przeszłości

Społeczeństwo ukraińskie w przededniu wyborów prezydenckich 2004 r., podobnie jak w listopadzie tego roku, kiedy powstał Euromajdan, znajdowało się w stanie niemal „idealnym” dla wybuchu niepokojów społecznych. Rosnące oczekiwania zarówno materialne, jak i polityczne napotykały coraz silniejsze bariery. Zwycięstwo Wiktora Janukowycza nad Wiktorem Juszczenką, stojącym na czele opozycyjnej prozachodniej partii Nowa Ukraina, postrzegano jako koniec tych aspiracji. W Kijowie rozpoczęły się masowe wystąpienia zwolenników Juszczenki żądających unieważnienia wyborów, których wyniki według relacji obserwatorów sfalszowano.

Na kijowskim Placu Niepodległości przez kilka tygodni odbywała się nieprzerwanie wielotysięczna demonstracja zwolenników opozycji, którzy eksponując kolor sztabu wyborczego Juszczenki – pomarańczowy – żądali przemian polityczno-gospodarczych w kraju. Protesty rozprzestrzeniły się na całą zachodnią część Ukrainy, poparcia demonstrantom udzielili również mieszkańcy sąsiednich krajów.

Konflikt nabrał wymiaru międzynarodowego, w negocjacjach między stroną rządową i opozycją znaczącą rolę odegrali m.in. prezydenci Polski i Litwy. Podczas rokowań uzgodniono wprowadzenie zmian do ordynacji wyborczej oraz nowelizację konstytucji, która znacznie ograniczyła uprawnienia prezydenta na rzecz parlamentu i rządu. Brzmi znajomo?

Podobieństwa z Majdanem na tym się nie kończą. Kluczową rolę w obu przypadkach odegrali oligarchowie. W czasach Kuczmy doszło do powstania specyficznego modelu klasy politycznej, w której większość polityków stanowili klienci wielkiego biznesu, reprezentujący ich interesy w parlamencie i rządzie, bądź politykami byli sami oligarchowie.

Jeśli oligarchowie po przetasowaniach, które wydarzyły się w następstwie pomarańczowej rewolucji, stracili wpływy, to tylko po to, by zrobić miejsce innym

Zamiana Kuczmy na Janukowycza, reprezentanta klanu donieckiego, silnie powiązanego wówczas z przedsiębiorcą Rinatem Achmetowem, zaniepokoiła oligarchów, bowiem mogło to pociągnąć za sobą zmiany własności wśród wielkiego biznesu. Uznali więc, że korzystniejszym rozwiązaniem dla nich będzie okrojenie prerogatyw prezydenta, co pozwoli im także na większy udział we władzach.

Tak samo jak Janukowycza wielu oligarchów obawiało się też Juszczenki, który – podobnie jak Tymoszenko – głosił hasła walki z bandytami w biznesie. Kiedy stało

się jednak jasne, że pomarańczową rewolucję da się stłumić tylko przy użyciu brutalnej siły, część przedstawicieli wielkiego biznesu wołała pójść z nim na kompromis.

W powtórzonej drugiej turze Juszczenko wygrał, uzyskując 52 proc. głosów, a oligarchowie na jakiś czas przenieśli swoje sympatie na nowo powstałe ośrodki władzy. Wspierali na zmianę obóz Janukowycza, Tymoszenki i Juszczenki. Żadna z grup nie miała dzięki zmianie systemu na parlamentarny wyraźnej przewagi nad pozostałymi, co doprowadziło do ciągłej zaciętej walki między partiami, owocującej niemal całkowitym paraliżem państwa. Zamiast reform nastąpił zastój. W efekcie w 2010 r. do władzy wrócił Janukowycz. Historia zatoczyła koło.

Czy elity znowu oszukają naród?

Jakie należy wyciągnąć z tego wnioski? Ano takie – jak pisze analityk Statforu George Friedman – że ukraińscy oligarchowie, którzy kontrolują 80 proc. gospodarki Ukrainy, mają większy wpływ na tamtejszą politykę niż porywy tłumów. Zawsze mogą uciszyć lub zastraszyć swoich krytyków lub ich kupić, tak jak kupują deputowanych.

Można oczywiście argumentować, że tym razem będzie inaczej, że majdanowcy dopilnują, by doszło do realnych zmian. Że będą stali tak długo w centrum Kijowa, aż nowe władze, jakiegokolwiek będą, przemienią Ukrainę z państwa drapieżczego w coś choćby zbliżonego do nowoczesnego państwa prawa. Informacje, które dobiegają z ukraińskich mediów, wskazują jednak na to, że będą musieli uzbroić się w cierpliwość.

Do nowej władzy pchają się bowiem ci, którzy w przeszłości nie wykazali się

wielkim przywiązaniem do praworządności. A ograniczenia wynikające tyleż z potęgi oligarchów, ile z wewnętrznych podziałów Ukrainy i niedojrzałości społeczeństwa obywatelskiego, grożą tym, że „nawet najbardziej oświecony ukraiński lider może stać się nowym Janukowyczem” – pisze Friedman.

Powrót do konstytucji z 2004 r., która rozszerzyła kompetencje parlamentu, grozi ponadto powrotem do bratobójczych walk pomiędzy partiami. Politycy, których do władzy wyniósł Majdan, mają zaś praktykę w prowadzeniu brutalnej gry politycznej.

Obowiązki prezydenta pełni np. obecnie Ołeksandr Turczynow, który w przeszłości kierował m.in. Służbą Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU). Turczynow rozpoczął swą karierę polityczną jako doradca Kuczmy i przez długi czas był blisko powiązany z byłym premierem Pawłem Łazarenko. Ten ostatni w latach 1996–1997 zdefraudował z kasy państwowej ponad 200 mln dol. i został skazany za to na 9 lat więzienia.

Turczynow związał się później z Tymoszenko, oboje zostali wybrani na deputowanych w 1998 r., a rok później założyli Batkiwsczynę. Według demaskatorskiego portalu Wikileaks Turczynow miał skorzystać z prerogatyw szefa służb specjalnych, by zniszczyć dokumenty łączące Tymoszenko z „bossem mafijnym” znajdującym się na liście 10 najbardziej poszukiwanych przez FBI przestępców, Siemionem Mogilewiczem.

Do nominacji Turczynowa i szerokiego rozmiaru przyznanych mu prerogatyw odniósł się z zaniepokojeniem m.in. znany ukraiński politolog i ekonomista Oleg Soskin. „Obawiam się, że po raz drugi skorumpowane elity oszukają naród” – napisał na swoim blogu.

Kolejna nominacja, do której doszło we wtorek, budzi nie mniejsze obawy. Ukraiński parlament wyznaczył posła Batkiwyszczyny Stepanana Kubiwa, ekonomistę z wykształcenia, na nowego szefa Banku Centralnego. 51-letni Kubiw, który pochodzi z zachodniej Ukrainy, obiecał, że „zapewni przejrzystość działań Banku Centralnego”.

W latach 2000–2008, kiedy był przewodniczącym prywatnego Kredobanku, to mu się nie udało. Kiedy bank przejęła polska grupa PKO BP, przeprowadziła audyt. I okazało się, że wartość kredytów, jakich udzielano bez stosownych zabezpieczeń, szła w setki milionów dolarów. Kubiw zrezygnował ze stanowiska. W 2012 r. przeszedł do Batkiwyszczyny i został posłem. W ostatnich tygodniach udzielał się na Majdanie w Kijowie, był jednym z jego „komendantów”.

Julia rusza do ataku

Założycielka Batkiwyszczyny Julia Tymoszenko nie kryje swojego wielkiego politycznego apetytu. Już dała do zrozumienia, że będzie kandydowała 25 maja w wyborach prezydenckich. Zostało to wprawdzie później zdementowane przez jej otoczenie, ale ambitna natura byłej premier jest i tak dobrze znana. Nie wiadomo więc, czy nie zmieni jeszcze zdania. Dzięki tej ambicji i bezwzględności w latach 90., gdy stała na czele firmy Jednolite Systemy Energetyczne Ukrainy zajmującej się głównie importem gazu, zebrała gigantyczną fortunę.

To Tymoszenko Ukraina zawdzięcza także wygórowane taryfy w handlu gazowym z Rosją. Będąc premierem, starała się ona bowiem zablokować główne źródło dochodów oligarchy wspierającego Janykowycza, Dymitra Firtasza. W tym celu

próbowała doprowadzić do wyeliminowania jego spółki RosUkrEnergo jako pośrednika w imporcie surowca. Udało jej się ten cel osiągnąć, jednak za cenę znacznej podwyżki taryf gazowych. Za to Janukowycz, gdy powrócił do władzy, kazał wtrącić ją do więzienia.

Mówiąc o Tymoszenko, warto również wskazać, że Rosja nader pozytywnie zareagowała na jej uwolnienie. Wielu posłów Dumy wyraziło pogląd, że powinna ona zostać co najmniej nowym premierem, jeśli nie prezydentem, bo „tylko ona gwarantuje stabilność na Ukrainie”. To pokazuje, że Rosja zalicza ją do „zaufanych” partnerów i ma nadzieję, że jej powrót doprowadzi do spięcia w dotychczasowej ukraińskiej opozycji. Tymoszenko, mimo iż nie uczestniczyła w protestach, jest symbolem, który może rzucić cień na polityczne ambicje lidera UDARU Witalija Kliczko czy Swobody Olega Tiahnyboka.

Negocjacje wokół obsady stanowiska tymczasowego premiera to pierwsza oznaka odradzających się politycznych sporów; trwały dłużej, niż przewidziano, i zamiast we wtorek nowy skład rządu ogłoszono dopiero wczoraj. Rola premiera przypadła Arsenijowi Jaceniukowi z Batkiwyszczyny, politykowi uchodzącemu za ugodowego i zarazem bezbarwnego. Oznacza to też, że pewnie Julia Tymoszenko, jak przewidywało wielu ekspertów, będzie miała wpływ na jego decyzje i zza kulis będzie pociągała za sznurki.

Ministrem spraw wewnętrznych ma zostać Arsen Awakow, który już od jakiegoś czasu pełni tę funkcję. Ministerstwo Spraw Zagranicznych przejął Andrij Deszczyc, były ambasador Ukrainy w Finlandii. Integracją z UE ma się zająć Borys Tarasiuk, doświadczony dyplomata, który pracował w MSZ jeszcze za czasów sowieckich i jest od kilku lat blisko związany z Juszczenką.

Wprawdzie do nowej Rady Ministrów oprócz doświadczonych polityków weszli także przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego – lider Automajdanu Dmytro Bułatow został ministrem ds. młodzieży i sportu – ale nie przyznano im znaczących stanowisk. Tetiana Czernowół, dziennikarka, którą brutalnie pobito w grudniu, i inni ludzie związani z Majdanem zajmą się lustracją. Nie wiadomo jednak, czy zachowają swoje stanowiska lub otrzymają nowe po wyborach 25 maja. Niewykluczone, że kiedy rozpocznie się prawdziwa walka o władzę, przepadną.

Dodatkowo zdestabilizować nowe władze na Ukrainie może fatalny stan gospodarki. Kraj potrzebuje zastrzyku finansowego, by uniknąć bankructwa, i może go dostać w obecnej sytuacji wyłącznie od Zachodu. Jak pisze Friedman, kuracje MFW mają jednak to do siebie, że są bolesne „jak operacja bez znieczulenia”. Jakkolwiek konieczne są reformy, których zażąda Fundusz, ich pierwsze skutki będą tak dotkliwe, że „mogą doprowadzić do kolejnych protestów”. Ukraińcy oczekują szybkich zmian.

Kijów–Warszawa. Zaszłość i gniew



MARCIN SKALSKI

Publicysta, słuchacz uniwersytetu w Doniecku

Dopóki Polska nie stawia żadnych zdecydowanych warunków, dopóty głoszenie przyjaźni polsko-ukraińskiej przez ukraińskich nacjonalistów nic ich nie kosztuje.

W ostatnich latach, jak i jeszcze w latach 90., kilkakrotnie można było zaobserwować potencjalną kolizję interesów polskich z wizją interesów Ukrainy reprezentowaną przez nacjonalistów ukraińskich. Wybijającymi się kwestiami były ponowne otwarcie Cmentarza Orłąt Lwowskich, stosunek do rzezi wołyńskiej oraz sprawa przekazania Domu Polskiego mniejszości polskiej we Lwowie.

Trudne kompromisy

Gdyby oceniać możliwość konsensusu między wspomnianymi podmiotami tylko przez pryzmat wyżej wymienionych zagadnień, to wniosek, iż między ich interesami zachodzi niczym niedająca się usunąć sprzeczność, nasuwałby się niemal odruchowo.

Nie byłyby to zresztą konkluzja zupełnie nowa, identyczną sformułowano w serii opracowań zgromadzonych w tzw. tekach Zielińskiego (dziś znajdują się w krakowskim archiwum PAN) dotyczących stosunków polsko-ukraińskich, które

napisano w latach 40., kiedy to wybuch II wojny światowej stał się pewną cezurą i okazją do podsumowań. Byłby to jednak wniosek dość pesymistyczny, skoro nic od tamtych czasów miałyby się nie zmienić, a trzeba przecież pamiętać, że w opracowaniach tych tezy dotyczące wzajemnych stosunków stawiane były wyjątkowo bezkompromisowo.

Mimo wszystko zarówno Cmentarz Orłąt został otworzony, choć dopiero za drugim razem – za pierwszym bowiem nacjonalistyczna Rada Miejska Lwowa zablokowała projekt porozumienia Warszawa-Kijów w tej sprawie, po czym urażony tym dictum prezydent Kwaśniewski opuścił Ukrainę.

Nie doszło również do gwałtownego zaostrzenia stosunków między Polską a nacjonalistycznie usposobioną Ukrainą na tle różnic w ocenie rzezi wołyńskiej (ludobójstwo czy walki polsko-ukraińskie i wzajemne rzezie?). Ostatecznie też zdominowana przez nacjonalistów z partii Swoboda Rada Miejska Lwowa wykonała porozumienie Komorowski-Janukowycz

i przekazała budynek pod Dom Polski. A więc konsensus osiągnięto teoretycznie w każdej sprawie, co mogłoby wbrew rozmaitym przesłankom nastrojać optymistycznie na przyszłość.

Okrutne dziedzictwo

Historycznym matecznikiem nacjonalizmu ukraińskiego jest dawna Galicja znajdująca się na przełomie XIX i XX w. pod zaborem austriackim. Autonomia galicyjska i, co za tym idzie, upodmiotowienie polityczne Polaków, stały się narzędziem utrwalania ich dominacji kulturowej i ekonomicznej w regionie, dzięki czemu Polacy w Galicji – przede wszystkim w jej interesującej nas najbardziej, wschodniej części – byli tam narodem panującym w neutralnym znaczeniu tego wyrażenia.

Te okoliczności wywarły ogromny wpływ na dobór metod i samą ideologię ówczesnych ukraińskich nacjonalistów. Bierność ludu ruskiego, który zamieszkiwał Galicję, była niekwestionowana. Uciekając od sądów wartościujących, można stwierdzić, że Rusini byli bliżsi masie etnograficznej niż upodmiotowionemu i samouświadomionemu narodowi.

Mając na uwadze również to, iż wielu z nich łączyły więzi z Rosjanami, trzeba przyznać, że przed nacjonalizmem ukraińskim stało zadanie niemal niemożliwe do wykonania. Aby obudzić bierną masę etnograficzną, nacjonałiści ukraińscy musieli uciekać się do metod wyjątkowo radykalnych, zaś umiejscowienie Rusinów w hierarchii społecznej spowodowało, że sam nacjonalizm ukraiński nabrał silnego kolorytu klasowego, wplatając weń hasła narodowościowe.

Czego przede wszystkim chciał nacjonalizm ukraiński? Łatwiej będzie na początku określić, czego nie chciał. Główny

jego ideolog, autor motto do „Dekalogu ukraińskiego nacjonalisty” i późniejszy tłumacz „Mein Kampf” na ukraiński, Dmytro Doncow, krytykował przede wszystkim zjawisko zwane przez niego prowansalstwem.

Prowansja i jej mieszkańcy, zlewając się w jeden organizm z Francją, utraciła swoją odrębność i według Doncowa to samo groziło Rusinom-Ukraińcom wobec takich narodów jak Polacy czy Rosjanie. Bowiem gdyby nie rozbiory Rzeczypospolitej, Rusini staliby się prawdopodobnie podgrupą narodu polskiego, czemu sprzyjała Cerkiew grekokatolicka będąca ówczesnie wylęgarnią polskich wpływów.

Jeden z punktów „Dekalogu ukraińskiego nacjonalisty” z 1929 r. głosił bowiem: „Nie zawahasz się popełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy”

Również i ją należało odwojować i zaprzęgnąć w tryby maszyny, która biernych Rusinów przerabiałaby na czynnych Ukraińców. Odwołanie do kryterium etniczności wyznaczającej narodowość jednostki (zamiast jej samoidentyfikacji) będzie kolejną charakterystyczną cechą ideologii nacjonalizmu ukraińskiego.

Metody proponowane przez Doncowa, autora rozprawy „Nacjonalizm” wydanej w 1926 r. we Lwowie, scharakteryzowane są jako „twórcza przemoc”. Miała jej dokonywać „mniejszość inicjatywna” – najbardziej ekspansywna, wiodąca grupa

przywódcza nacji. Według badacza ideologii nacjonalizmów prof. Bogumiła Grotta Doncow uważał, iż nacjonalizm ukraiński powinien charakteryzować się fanatyzmem, bezwzględnością i nienawiścią.

Tego rodzaju propozycja ideologiczna zebrała swe krwawe żniwo w latach II wojny światowej na Kresach Wschodnich, gdzie Ukraińska Powstańcza Armia – zbrojne ramię Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów – dokonała okrutnego ludobójstwa na ludności polskiej.

Co charakterystyczne, zginęło wówczas także ok. 60 tys. Ukraińców, którzy nie chcieli brać udziału w zbrodniach. Roman Szuchewycz (vel Taras Czupryńka), jeden z głównych wykonawców zbrodni, tłumaczył: „Jeśli trzeba będzie zlikwidować nawet połowę Ukraińców, to ta druga połowa będzie czysta jak szklanka źródlanej wody”.

Nie bez powodu jeden z punktów „Dekalogu ukraińskiego nacjonalisty” z 1929 r. głosił bowiem: „Nie zawahasz się popełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy”. Ostatecznym celem miała być wielka nacjonalistyczna i ludowa (czynnik klasowy) Ukraina obejmująca wszystkie ziemie uznawana za etnicznie ukraińskie – czyli od Nowego Sącza po Kubań. Wszystkie metody były zaś uzasadnione, jeśli tylko prowadziły do tego celu.

Ukraiński nacjonalizm dzisiaj

Postawienie tezy, iż każdy, kto dziś uznaje OUN-UPA i związanych z nimi Suche-wycza czy Banderę za bohaterów, jest równocześnie zwolennikiem dokonywania zbrodni na Polakach, byłoby z pewnością nieuczciwe. Mit tych formacji i postaci wykroczył w wielu przypadkach daleko

poza ich pierwotne znaczenie, często je przewartościowując.

Współczesne partie nacjonalistyczne na Ukrainie, na czele z największą z nich Swobodą, odwołują się w dużej mierze do haseł socjalnych, zdając sobie jednocześnie sprawę, że sama idea narodowa nie przysparza poparcia społecznego i że ten pierwszy czynnik gra w pozbawionym klasy średniej społeczeństwie niemałą rolę w mobilizowaniu elektoratu.

Ta taktyka okazała się skuteczna i przyniosła Swobodzie 10 proc. w ostatnich wyborach parlamentarnych. W sukcesie pomogło jej również ustawienie się w kontrze wobec całej skompromitowanej klasy politycznej, co z kolei stworzyło nowe możliwości dla promowania idei nacjonalistycznych w społeczeństwie Ukrainy i zbliżenia się do centrum.

To dzięki Majdanowi lider Swobody Oleh Tiahnybok przeszedł ewolucję od polityka wiecowego do polityka gabinetowego. Z drugiej strony wejście Swobody do mainstreamu czyni dysponentem „jedynego prawdziwego nacjonalizmu” siły jeszcze bardziej skrajne, jak np. Prawy Sektor, o którym szerzej usłyszeliśmy w Polsce przy okazji dywagacji jego rzecznika na temat ukraińskości Przemysła. Czy należy się spodziewać czegoś w rodzaju powtórki z historii?

Z pewnością wiele postulatów nacjonalizmu ukraińskiego zostało spełnionych, przynajmniej w odniesieniu do dawnych polskich Kresów, niekiedy rękami Sowietów. Dziś 144 tys. Polaków żyjących dzisiaj na Ukrainie wedle oficjalnych spisów nie stanowi żadnego zagrożenia dla świadomości narodowej Ukraińców, tym bardziej że po wszystkich hekatombach XX w. jest to ludność pozbawiona znaczenia ekonomicznego.

Czy między nami dobrze jest?

Nie ma obecnie zagrożenia polskim rewizjonizmem wobec Kresów. Ludności polskiej zostało tam niewiele, co więcej, największe skupiska Polaków znajdują dopiero na Kresach przedrozbiorowych, zwłaszcza w okolicach Żytomierza. Potencjalny polski rewizjonista nie miałby więc żadnego punktu zaczepienia dla swoich postulatów.

Wygaszony jest zatem ważny polsko-ukraiński punkt sporny i kolejna – nieusuwalna, jak zdawało się przez dekady wielu – sprzeczność, choć uczciwie mówiąc, usunięta została dopiero przez Stalina po roku 1945. Z tego ostatniego powodu Polacy, nawet gdyby nie zostali zamordowani przez UPA, i tak zostaliby z Wołynia wysiedleni, co czyni rzeź wołyńską tym bardziej irracjonalną.

Wszystko wskazuje na to, że o sile antypolskiego ładunku we współczesnym nacjonalizmie ukraińskim dowiemy się zapewne wówczas, gdy państwo polskie zacznie prowadzić politykę mającą na uwadze interes narodowy; gdy zacznie się upominać o prawa mniejszości polskiej na Ukrainie (nieoficjalnie liczącej sobie nawet 2 mln) i oczekiwać wdrażania polskiej narracji historycznej na terytorium Ukrainy. Wciąż nie nastąpiła np. pełna

odbudowa Cmentarza Orłąt Lwowskich ani upamiętnienie kaźni ofiar OUN-UPA bez narzucania sztucznej „symetrii przeprosin” stronie polskiej.

Dopiero reakcje na powyższe postulaty będą probierzem stosunku nacjonalistów ukraińskich do sprawy polskiej. Pamiętać należy, że na przekazanie Domu Polskiego we Lwowie czekaliśmy pół roku, i to w warunkach niemałej antypolskiej hysterii. Nacjonalistyczne rady obwodowe czy miejskie na zachodniej Ukrainie przyjmowały przecież uchwały oskarżające Polskę o „600-letnią politykę wynaradawiania Ukraińców”.

W reakcji na przygotowania Sejmu dotyczące przyjęcia uchwały (ostatecznie projekt zarzucono) nazywającej rzeź wołyńską ludobójstwem zapowiadano też skierowanie do parlamentu ukraińskiego wniosku o uznanie AK za formację ludobójczą.

Wydaje się, że dopóki Polska nie stawia żadnych zdecydowanych warunków, dopóty głoszenie przyjaźni polsko-ukraińskiej przez nacjonalistów nic ich nie kosztuje. Ci zaś mogą być dla wielu wiarygodni w kwestii „historycznego pojednania narodów”. Wszak osiągnęli już oni historyczne cele względem Polski – chociaż metodami, o których dzisiaj chcieliby zapomnieć. Tylko czy i nam zależy na tym, aby zapomnieć za wszelką cenę.

Rosyjski poker nad Dnieprem

Z Witoldem Juraszem
rozmawia Aleksandra Rybińska



WITOLD JURASZ

Były dyplomata, m.in. w Moskwie i na Białorusi,
blogger

Nawet jeśli założyć, że Rosja poniosła taktyczną porażkę, to nadal ma w Kijowie bardzo dużo do powiedzenia, a władze ukraińskie będą się z Moskwą musiały układać.

Gdy mówimy o Wiktorze Janukowyczu i jego starciu z opozycją ukraińską na Majdanie, nasuwa się pytanie, jaką rolę w tym konflikcie odegrał Władimir Putin. Rosyjski prezydent powiedział kiedyś, że największą geopolityczną tragedią XX w. był rozpad ZSRR. Jak to się przekłada na obecną sytuację?

Aleksander Kwaśniewski stwierdził kiedyś, że „lepsza jest Rosja bez Ukrainy niż Rosja z Ukrainą”. Problem polega na tym, że dla Kremla jest dokładnie na odwrót. Co gorsza – bez Ukrainy cały Putinowski projekt odbudowy posowieckiego imperium pada, tym samym więc Kijów staje się częścią nie tylko rosyjskiej polityki zagranicznej jako takiej, ale też elementem polityki wewnętrznej.

Odnosnie do ofiar na Majdanie, to problem polega, moim zdaniem, na tym, że my przypisujemy wszystkie negatywne scenariusze Rosji. Oczywiście brutalna

pacyfikacja Majdanu była na rękę Rosji, która mogła zakładać, że ofiary spowodują sankcje i polityczną izolację reżimu. Wtedy Moskwa byłaby dla niego jedynym partnerem. Problem polega jednak na tym, że Kreml miał i nadal ma wiele różnych alternatywnych scenariuszy. Kolejnym jest np. przekupienie ukraińskiej opozycji (czy też już teraz – władzy). My tego robić nie umiemy i nie za bardzo już chyba nawet możemy, a oni tak. Następnym scenariuszem, który Kreml skądinąd już po części realizuje, jest straszenie podziałem Ukrainy. Nie sądzę, by chcieli ten scenariusz rzeczywiście realizować, lecz mogą o nim mówić. No i oczywiście mogą płynnie przechodzić od jednego scenariusza do drugiego. To jedna z charakterystycznych cech rosyjskiej dyplomacji, która potrafi równolegle realizować kilka scenariuszy. Bardzo też umiejętnie używają elementów ekonomicznych, których my również tak nie stosujemy.

Kilka miesięcy temu, po tym, jak nie doszło do podpisania umowy stowarzyszeniowej, miała miejsce ciekawa sytuacja, gdy to, co mówił Aleksander Kwaśniewski, i to, co mówił Jarosław Kaczyński, było bardzo podobne. Obydwaj panowie stwierdzili, że nie było ze strony Zachodu dostatecznie dobrej oferty finansowej dla Ukrainy. Po prostu nie było pieniędzy na stole. Ja bym może dodał – nie było pieniędzy dla Ukrainy i kilku konkretnych Ukraińców, a te, które były – były w perspektywie, a nie na wyciągnięcie ręki.

Ukraina tymczasem dramatycznie potrzebuje pieniędzy już teraz – elita może mniej – ale to ona też jest przyzwyczajona, że pieniądze szybko dostaje. Tutaj z kolei rację miał minister Sikorski, który logicznie, choć może ciut zbyt szczerze, napisał, że nie można bez końca pompować pieniędzy w skorumpowany system. Ja pewnie byłbym zdania, że połączenie pomocy dla Ukrainy i gwarancji bezpieczeństwa kapitału dla elit to byłby jakiś złoty środek.

Czyli Unia Europejska nie przedstawiła oferty, która byłaby do przyjęcia dla Janukowycza i dała pole do popisu Rosji?

Unia potraktowała Ukrainę tak, jak się traktuje kandydatów do stowarzyszenia, bo o żadnym członkostwie Ukrainy w UE nigdy przecież nie było mowy. Dla Rosji zaś Ukraina to projekt geopolityczny. Ocena oferty złożonej Janukowyczowi w postaci umowy stowarzyszeniowej to jedna sprawa, jednak zwróciłbym uwagę na to, że kiedy jesienią, przed szczytem Partnerstwa Wschodniego, doszło do krótkiej ukraińsko-rosyjskiej wojny celnej, nie nastąpiła odpowiednio silna reakcja Brukseli. Być może to wówczas Januko-

wycz zrozumiał, że nawet zakładając to, iż sama umowa nie jest zła, może on politycznie nie przetrwać rosyjskiej reakcji na jej podpisanie. W krótkiej perspektywie bowiem Rosja może mu dać pieniądze, a Unia mu pieniędzy nie da. Bruksela oferowała mu coś na długą metę, ale zbliżają się wybory, a bez pomocy finansowej oznacza to dla niego przegraną, bo wiąże się z podwyżką choćby cen. Rosja tymczasem oferuje mu wygraną wyborów. Nic dziwnego, że nie wahał się długo.

Zaangażowanie na Ukrainie jest dla Rosji jednak dość kosztowne, biorąc pod uwagę, że pomaga m.in. także Białorusi. 15 mld dol. kredytu, obniżka cen gazu. Czy Kreml na to stać?

Przy tej cenie za baryłkę ropy naftowej zdecydowanie tak. Kredyt dla Ukrainy nie jest zresztą darowizną, lecz pożyczką, czyli w chwili, gdy Ukraińcy tych pieniędzy nie oddadzą, można sobie wyobrazić przejęcie przez Rosję akcji spółek należących do ukraińskiego państwa. Według tego scenariusza realizowała się prywatyzacja w Rosji. W związku z tym to metoda kontroli gospodarczej nad Ukrainą. I może się tak stać, że my się obudzimy za lat 15 w sytuacji, w której Ukraina nagle stanie się liberalną demokracją z czterema kanałami telewizyjnymi, tylko że jeden będzie kontrolowany przez Gazprom, drugi przez Lukoil, trzeci przez Rosoboroneksport [rosyjskie państwowe przedsiębiorstwo zbrojeniowe – przyp. red.], a czwarty przez jakiś bank rosyjski. I jeden będzie popierał taką partię, a drugi taką. I ta dominacja medialna może spowodować, że w tej niby-liberalnej demokracji nigdy żadna prawdziwie prozachodnia partia nie wygra wyborów. Zakładając, że teraz my mamy przejść wsparcie Ukrainy, su-

gerowałbym równie twarde stawianie sprawy.

Kiedy spojrzysz się na ostatnie wydarzenia na Majdanie, wydaje się czasami, że Kreml nie do końca liczył się z tak wielką determinacją Ukraińców, a w każdym razie tak argumentują niektórzy eksperci...

Janukowycz zrozumiał, że nawet zakładając, iż sama umowa z UE nie jest zła, może on politycznie nie przetrwać rosyjskiej reakcji na jej podpisanie

To charakterystyczna cecha rosyjskiej polityki zagranicznej, że jest tam taki podział, a mianowicie im zdecydowanie lepiej wychodzi dyplomacja, kiedy prowadzi ją MSZ, a nie Kreml. MSZ jest bowiem cierpliwe, a Kreml zdecydowanie mniej. A akurat Ukrainę prowadzi wyłącznie Kreml, a MSZ nie ma niemal nic do powiedzenia. Słabością rosyjskiej dyplomacji jest to, że prowadzi często bardzo skomplikowaną, złożoną grę, by potem w ostatniej chwili wszystko zepsuć właśnie ową niecierpliwością. To bardzo ciekawe mechanizmy. Dodałbym jednak, że rosyjska dyplomacja, pomimo tych słabości generalnie jest jedną z najlepszych, najbardziej profesjonalnych i najskuteczniejszych na świecie. Miarą dyplomacji nie jest bowiem to, ile zdoła ugrać, lecz to, jak się ma to, co ugrywa, do tego, jakimi dysponowała kartami. W tym sensie rosyjscy dyplomaci to naprawdę wybitni

pokerzyści (czy też brydżyści). My w Polsce tymczasem mamy niemądry zwyczaj niedoceniaenia rosyjskiej dyplomacji.

Pojawiają się również opinie, że Putin zwalczał Majdan, by nie przeniósł się on do Moskwy. Jak to się ma do rzeczywistości?

Jedno nie ma z drugim nic wspólnego. My mamy tu po prostu spór Ukrainy Zachodniej ze Wschodnią, spór sił prorosyjskich z siłami antyrosyjskimi, narodowymi, a wręcz w dużym stopniu nacjonalistycznymi. Nie posunąłbym się tak daleko, by stwierdzić, że to wyłącznie „banderowcy”, ale nie stroniłbym też od konstatacji, iż oni tam działają. W Polsce istnieją dwie sprzeczne ze sobą polityczne poprawności: jedna mówi, że nie wolno o tym mówić, a druga, iż powinno się mówić wyłącznie o tym. Ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Rosyjska opozycja tymczasem to tak naprawdę wielkomięska inteligencja. To w gruncie rzeczy nadal bardziej ruch dysydencki niż opozycja jako taka, więc nie widzę tu żadnej paraleli do wydarzeń na Ukrainie. Wydaje mi się, że ruch protestu z „Bołotnej Ploszczadi”, bo tam się odbywały jakiś czas temu demonstracje w Moskwie przeciwko Władimirowi Putinowi, został przez niego już dawno bardzo skutecznie spacyfikowany. Co więcej, nie sądzę, by dla nas miało znaczenie to, czy rządzi Putin, czy Nawalny, bo ich co prawda wiele różni, ale akurat w zakresie polityki zagranicznej rosyjska opozycja nijak prozachodnia nie jest. Są oczywiście działacze bardzo liberalni, lecz to już naprawdę margines (a w zasadzie margines marginesu).

Często słyszy się także argument, że Janukowycz był marionetką w rękach

Rosji. Czy to słuszna ocena? Czy usiłował on prowadzić coś w rodzaju samodzielnej polityki?

Janukowycz był oczywiście pod wpływem Moskwy – tutaj pewnie odegrała rolę jego niejasna i mocno skomplikowana przeszłość. Również mentalnie było mu bliżej do Rosji niż do Zachodu. W punkcie startu swej kariery politycznej był oczywiście „projektem Kremla” (i on, i cała Partia Regionów), ale sądzę, że z czasem (i wraz z pęcznieniem konta bankowego) ta jego zależność malała. Co ciekawe, premier Mykoła Azarow od razu po dymisji poleciał do Wiednia, ci ludzie nawet jeśli są prorosyjscy, to pieniądze wolą trzymać na Zachodzie, bo tam są całkiem zwyczajnie bezpieczniejsze. Powinniśmy im to zresztą ułatwiać, zamiast utrudniać, to ich w jakiś sposób z nami wiąże. Mówienie, że Janukowycz był wyłącznie marionetką Putina, to zatem duże uproszczenie. My mamy taką tendencję, by określać każdego, kto nie jest liberalnym demokratą i prozachodnim politykiem, jako marionetkę Moskwy. Tak się mówi w Polsce np. o prezydencie Białorusi Aleksandrze Łukaszen-ce, przez co stajemy się zakładnikami własnych wyobrażeń. Oczywiście – jeśli już mowa o Łukaszen-ce – on nigdy prozachodni się nie stanie, jednak jeśli będzie miał pole manewru pomiędzy Zachodem a Rosją, to jednak dla nas to lepszy scenariusz niż sytuacja, w której może prowadzić dialog wyłącznie z Moskwą.

Na razie sytuacja na Ukrainie wydaje się rozwijać po myśli zwolenników integracji z UE. Opozycjonista z Batkiwyszczyny Ołeksander Turczynow został właśnie p.o. prezydenta, prezydent Wiktor Janukowycz uciekł z Kijowa, jego rezydencja została zajęta

przez majdanowców, a Julia Tymoszenko wyszła na wolność. Nie wspominając o cofnięciu ustawy o rosyjskim jako języku urzędowym. Ma powstać rząd zaufania narodowego, a 25 maja odbędą się wybory. Rosja się przeliczyła?

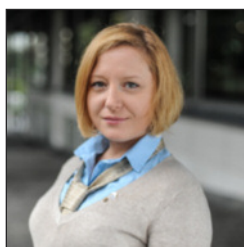
Po pomarańczowej rewolucji Ukraina już też podobno była prawie na Zachodzie, więc poczekajmy z tym optymizmem. Nawet jeśli założyć, że Rosja poniosła taktyczną porażkę, to nadal ma w Kijowie bardzo dużo do powiedzenia, a władze ukraińskie będą się z Moskwą musiały układać.

Czy przyszłość Ukrainy po obecnej rewolucji może się okazać bardziej skomplikowana? Jeśli np. okaże się, że siły wspierające stary reżim niekoniecznie znikną, a rozbudzona politycznie ludność zażąda szybkiej poprawy warunków życia?

Siły wspierające stary reżim nie znikną, bo niby jak miałyby zniknąć? Rosja była i będzie graczem. Oligarchowie pozostaną, tylko na nowo podzielą rynek. Prorosyjski Wschód pozostanie prorosyjski. Kłopoty gospodarcze nie znikną, tylko pytanie, czy my, czy Rosja będziemy nowe władze z nich wyciągać. Warto by skądinąd, jeśli to mielibyśmy być my, nie robić tego za darmo, bo jeśli ta rewolucja ma przegrać, tak jak poprzednim razem, to byłoby dobrze, byśmy i my mieli post factum jakiś kawałek tego tortu. Koniec końców bowiem o tym, kto wygra Ukrainę, zdecyduje dominacja gospodarcza. A czy ludność jest politycznie dojrzała, czy tylko pobudzona, to jeszcze zobaczymy – jeśli Julia Tymoszenko wygra wybory prezydenckie, będzie to oznaczało, że samo po-

budzenie nie jest jeszcze dojrzałością. Byłej pani premier wypadałoby życzyć przede wszystkim powrotu do zdrowia – oby terapia była skuteczna, ale też i dokładna (czyli nieśpieszna). Z drugiej strony,

jeśli wybory prezydenckie miałyby wygrać ktoś spośród ultra radykałów, też byłbym raczej sceptyczny co do przyszłości i pełen obaw o to, kto by tak naprawdę miał się cieszyć – my czy Kreml.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA
Redaktor „Nowej Konfederacji”

Wesprzyj nas

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku**. Co więcej, **podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Darczyńcy:

Pięćdziesięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Jerzy Martini, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny

Redakcja:

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (p.o. sekretarza redakcji)

Redaktor prowadzący:

Michał Kuź

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

Grafika (okładki):

Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Komunikacja internetowa:

Michał Kuź

Skład:

Rafał Siwik

Wydawca:

Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt:

redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa